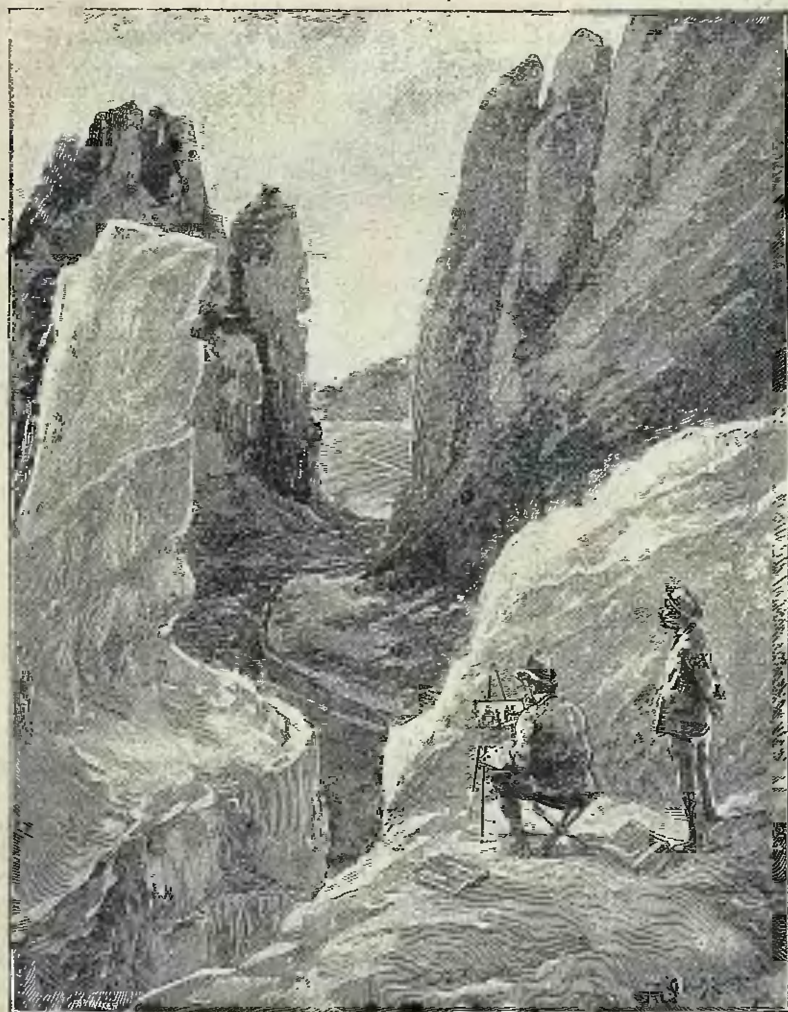


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Do pow. Testament Dziwaka.



Maks Real malował z zapalem.

Latem.

Uwiedło wiosny kwiecie,
A lato nowy wianek
Nie z fiołków, bzów, sasanek,
Lecz z innych kwiatów plecie.
W płomienny mak, bławatkę
Skróć ziemi lato stroi,
Królownie niesie swojej
Pęk traw i barwne kwiatki.
Plon niesie jasnokłoso
Plon niesie wyzłaczony;
Jaśnieją zbożem lany
W tęczywch kroplach rosy.
Szeroką się przestrzenią
Wzduymają złote fale,
Wśród fal tych, jak korale,
Makówki się czerwienią.

* * *

Drżą kłoso, lśniące rosą,
Bo tam, gdzie droga polna
Żniwiarze idą zwolna
I jasne sierpy niosą.
I zaszumiała niwa
Olbrzymią falą złotą,
Wionęła pieśń tęsknotą
I w dali się rozpływa:
—O, już nam nie żyć więcej
Ani się poić rosą;
Tam w dali idą żeńcy
I ostre sierpy niosą!...
Nie szumieć nam o świetle
W poranku mgie perłowej,
Gdy spływa blask i życie
Na nasze złote głowy. —
—Nie skarżcie się, złociste —
Chór traw zaszumił w dali —
Spójrzcie w to niebo czyste,
Co się od wschodu pali,
I spójrzcie tam daleko,
Gdzie wzgórze osiwiłe,
Tam złotostrzeche, białe
Spiały chaty ponad rzeką.

Tam wiosną pole orze
 Kmieć z twarzą zaszępiłą:
 Czy też wybuja zboże
 Tą runią, tą zieloną?
 A matka czoło chyli,
 Wzywając łaski nieba —
 Że w chacie niema chleba,
 Dzieciatko cicho kwili...
 Ach! im to ku pociesze,
 Zesłały was niebiosy:
 Nakarmcie lud ten bosy,
 Nakarmcie głodne rzesze!

Z. Plewińska.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadame osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— A gdzież jest źródło Białego Dunajca? Słyszałem że ono właśnie jest na Kalatówkach.

— Nazywano tak rzeczywiście, ale nazwa była błędna. Dunajec tak Białą jak Czaray, rosną z różnych drobnych strumyków rozmaicie się nazywających i dopiero w większy strumień poniżej połączone, przybierają właściwą nazwę. Białą Dunajec powstaje dalej z połączenia tejże Bystrzycy i innymi potokami.

— Piękną i malowniczą jest gwara podhalska — odezwał się malarz, — wyrażenia takie naprzykład jak Wywierzyska, Sikława, Wodogrzmoty, są tak charakterystycznymi, tak wybornie malują rzecz, że niczem innem nie dadzą się zastąpić!

Na polanę zwaną Kalatówkami, szli przez las i bujne, barwnem kwieciami błyszczące trawy. Tu posłyszeli nadzwyczajny szum i łoskot i szli w kierunku tego szumu, drogą wiodącą nad przepaścią. Z góry ujrzeli olbrzymi strumień wody wybuchający z pomiędzy kamieni porośniętych zielonością, który rozbijając się o zawadzające mu głazy, szumi, huczy, wre i pieni się, zanim spłynie w potok płynący doliną. Aby się lepiej przypatrzeć temu ciekawemu zjawisku, zeszli na dół, skąd Wywierzyska przedstawiła im się w całej okazałości. Wspaniale wyglądała ta biała jak śnieg piana, przy ciemnej zieloności świerków zwieszających się z wysokości skał okolicznych. Szum był taki, że stojący u stóp wodospadu nie słyszeli własnego głosu, a na twarzach czuli chłodny powiew od silnego prądu wody.

Malarz patrzył na wspaniałe widowisko okiem artysty, profesor okiem geologa i uczonego; interesowała go zwłaszcza masa wielkich głazów, zawalających znaczną przestrzeń, jakby olbrzymie rumowisko. Henryk był zachwycony, bo jeszcze nigdy w życiu nie widział wodospadu, a sir Warburton, który już wiele widział, podziwiał bogactwo wytryskującej wody. Na to odezwał się profesor, odprowadzwszy go trochę na bok, gdzie huk był mniejszy, że Tatry właściwie odznaczają się nadzwyczajnem bogactwem wód i że niema z pewnością nietylko w całym systemie Karpat, ale w ogóle między górami środkowej Europy drugiego pasma, któreby im pod tym względem dorównywało. Oprócz wartkich potoków, wijących się pośród zielonych łąk środkiem dolin, wydobywają się tu ze skalistych szczytów, lub z wałów kamiennych olbrzymie zasoby wody, tworząc źródła tak potężne, że każde z nich mogłoby dać początek wielkiej rzece.

Baronet usiadł na jednym z bliskich głazów i wyjąwszy z kieszeni składaną srebrną szklaneczkę, zaczerpnął wody, ale nie mógł jej pić samej: była zbyt zimna. Miała tylko trzy stopnie ciepłoty. Zawołał więc na Jerrego o wino, i dolał go do wody.

Słońce zachodzące barwiło szczyty na wszystkie odcięcia fioletu, bramując ich zarysy złotem, a w rozpylonej mgłę wodospadu i jego kryształach, grało siedm kolorów. Każda kropla wydawała oddzielny blask łamiącego się światła, a wszystkie razem układały się w tęczę.

— Witaliśmy dzień pod trzema łukami tęczy, i żegnany go tęczę kładącą się u stóp naszych — przemówił baronet; — spędziłyśmy razem dwa piękne dni i dzięki panom dowiedziałem się niejednej rzeczy, o której istnieniu nie wiedziałem, i zobaczyłem niejedną piękność, którejbym sam był nie dojrzał. Nie znalazłem wprawdzie róży bez kolców, ale mam nadzieję, że ją jeszcze spotkam na mej drodze. Dobrze nam było razem i spodziewam się, że się jeszcze spotkamy. A teraz wracajmy Walterze, bo czas na nas; chciałbym być w domu przed nocą.

Wozy czekały w Kuźnicach i tam nastąpiło rozstanie. Powrót Henryka do Zakopanego był prawdziwym wjazdem tryumfalnym. Jechał wprawdzie skromnie na wózku wraz z malarzem i doktorem, ale wyprzedził go wóz przybrany jedliną, z niedźwiedziem, którego skórę juchasom przyszło na myśl wypchać sianem i zaszyć, aby udawał żywego. Niedźwiedziowi temu zlatywali się wszyscy przypatrywać, a sława młodego bohatera rozbrzmiewała w całym Zakopanem.

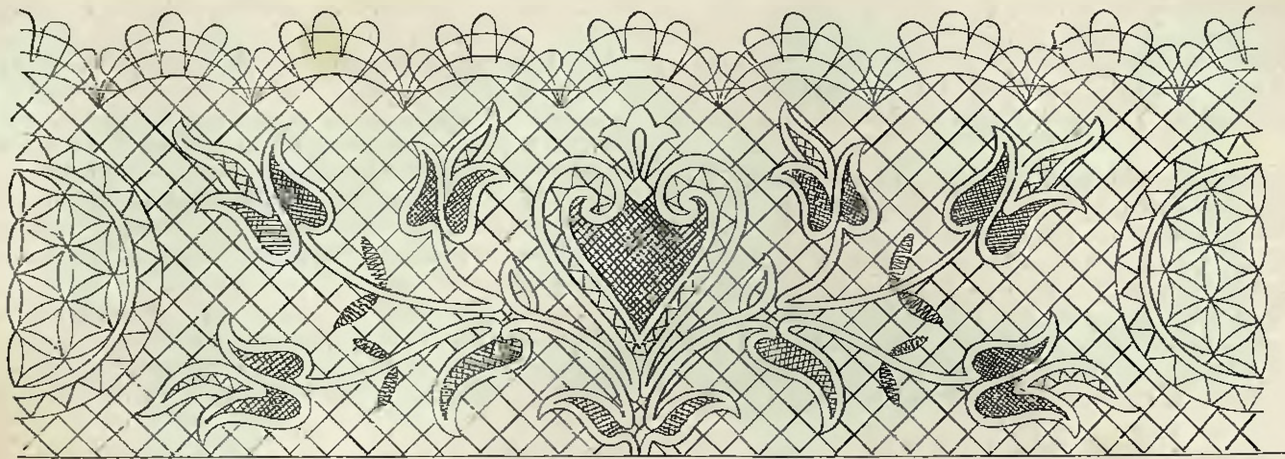
Z nieznaczącej nic osoby, urosł nagle na osobistość rozgłosną, a Slimak nawet wyraził się o nim, że wart był zbójnikiem. Przygody Henryka w Dolinie Kościeliskiej przechodząc z ust do ust, urosły do tak potężnych rozmiarów, i tak przeobrażone do niego wracały, że sam ich nie poznawał. Babunia Kasia dumna była ze swego wnuka; siadła zaraz pisać list do ojca i nie pominęła szczegółu o przyjaźni z angielskim magnatem, a Marysia która bardzo kochała braciśzka, zapomniała na całą godzinę o swoich królikach; ścisłała go, całowała i mówiła, że jest najmądrszym, najpiękniejszym rycerzem i że warto o nim książkę napisać. Henryk syt sławy zamiast spocząć na laurach, jakby nie czuł strudzenia, puścił się w taniec góralski po pokoju, i przebijając nogami na jednym miejscu, spoglądał figlarnie na siostrzyczkę i śpiewał piosenkę słyszaną od jednego z górali:

„Bodaj ty dziewczyno maliniaka zjadła,
 Coś ty Janickowi do serduszka wpadła.
 Chyba cię dziewczyno dyabli malowali,
 Że do twoich liczek takiej krasy dali.
 — Ej dyc mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
 Bo do moich liczek takiej krasy trzeba.”

XIV.

Nitka zerwana.

Skromny domek Tatara na Starej Polanie tak pięknie został urządzony, że samego gospodarza przejmował podziwem i zazdrością. Piękność to bowiem była czysto miejscowa, góralska. Sir Warburton, wielki piękna wszelkiego wielbiciel, tak sobie upodobał styl zakopański, którego próbki widział w starych, poczerwiałych sprzętach swego gajdy, że i własne mieszkanie zapragnął w podobne zaopatrzyć. Dowiedziawszy się, że szkoła snycerska w Zakopanem wyrabia podług starych modeli, sprzęty zastosowane do potrzeb ludzi cywilizowanych, i tworzy z motywów miejscowych bardzo szczęśliwe, artystyczną wartość mające kombinacje — udał się tam zaraz. Znalazł trzy gotowe garnitury, umeblowanie sypialni, jadalni, gabinetu do pracy, i tak się zapalił do tego stylu, w niczem nie przypominającego banalnych, do zbytku już znanych produkcji szwajcarskich i tyrolskich, że zakupił wszystko co było, wy-



Koronka stylowa, zakopańska z liliami.

dawszy na to ogromną sumę dwustu funtów szterlingów. Sprzęty te przeznaczone do jego zameczku myśliwskiego w Szkocyi, tymczasem służyć miały ku wygodzie właściciela przez cały czas pobytu jego w Zakopanem.

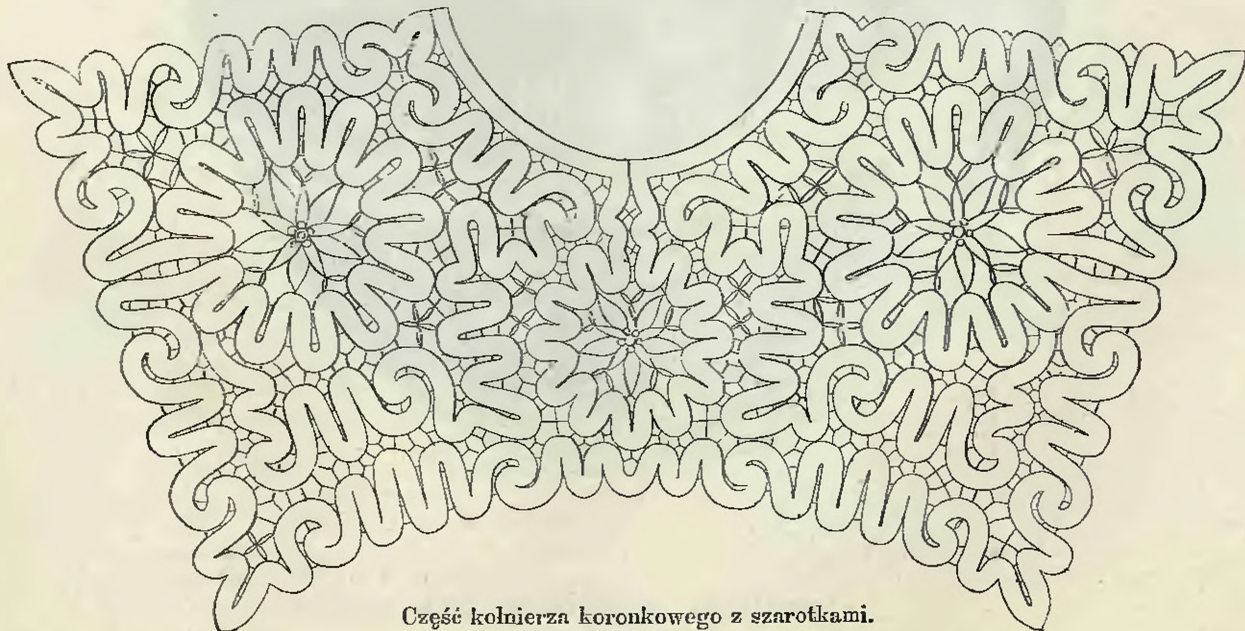
W domku Tatara były cztery izby przedzielone sienią, po dwie z każdej strony: z prawej znajdowała się sypialnia milady i pokój jadalny, z lewej mieścił się sir Warburton, oraz Walter z Dawidem.

Trzy zatem izby, to jest sypialna lady, pokój jadalny i gabinet baroneta, umeblowane zostały świeżo zakupionemi sprzętami z jasnego bukowego drzewa. Na szafach, łózkach, krzesłach znajdowały się rzeźby oryginalne, wizerunki kwiatów, słońc, gadów, napuszczane farbą w nacięciach, lub kolorowem drzewem wykładane. Było nawet biurko dla sir Edwarda i toaletą dla milady, a choć górale biórek ani toalet nigdy nie używali, ale lustro umieszczono w ramie naśladowującej stare oddrzewia, a biurko było z szafkami, zamykanemi na misterne zasuwki. Każdy góral miejscowy mógł je uznać za swoje, bo nie wychodziły z zakresu typowości. A już co kredens, biblioteka, skrzynie i półki wszelkiego rodzaju, te były prawdziwemi arcydziełami dobrego smaku i oryginalności form. To też Tatar choć rad takiemu ozdobieniu wnętrza swego domu, choć z dumą na nie patrzył,

ale myślał zarazem z żalem, że to wszystko wraz z gośćmi zamorskimi, wyjedzie daleko za morze.

Podłogi pokryły częściowo kołomyjskie kilimki, których dużo do Zakopanego zwieziono i które goście chętnie kupowali — słowem wnętrze mieszkania Anglików przedstawiało się bardzo ozdobnie i barwnie.

Lady Chester nie tak zapalona do okazów sztuki góralskiej, znalazła jednak też coś i dla siebie w Zakopanem, mianowicie w szkole koronkarskiej, którą raczyła zwiedzić. Odkryła tam doskonałe, niczem nie ustępujące oryginałom kopie starych niemieckich i brukselskich koronek, włoskich *reticello*, a co najważniejsza, wspaniałe wielkiej delikatności koronki stylowe, gdzie do form staroświeckich zastosowano umiejętnie w rysunku motywa miejscowe. Wachlarze z szarotkami rozpiętymi na pajęczej delikatności tle, gipsurowa kapa na łóżko w stylu czysto zakopańskim, gdzie lilie Martago i niezapominajki tak były misternie splątane, że największego znawcę zachwycić mogły — lub koronkowy serdak, który nawet na przyjęcie u dworu włożyć było można. Były to rzeczy nowe, oryginalne, jakich nie posiadały najbogatsze lady Wielkiej Brytanii, bo na wystawie tych wyrobów urządzonej w Glasgowie staraniem pani Gielgudowej, szkoła otrzymała list pochwalny; słynna zaś artystka pani



Część kołnierza koronkowego z szarotkami.

Helena Modrzejewska postarała, aby się z niemi Londyn zapoznał. Zyskały wtedy podobno uznanie Księżnej Walii i wszystko co było piękniejszego, zakupiono dla Muzeum Narodowego. Te zaś które teraz szkoła wyrabiała, przewyższały stokroć tamte i królowa nawet nie pogardziłaby niemi.

To odkrycie poprawiło bardzo humor wielkiej pani, przyznała, że warto było tu przyjechać i kupiła koronek za pięćdziesiąt funtów. Przytem wynalazła sobie zajęcie. Przypatrując się w szkole robocie dziewcząt góralskich, powiedziała sobie, że to będzie wyborny sposób zabijania czasu i zażądała lekcyi od pani Neužilowej, dyrektorki zakładu. Arystokratyczna uczennica okazała się nad wszelkie spodziewanie pojętną i po kilku lekcyach zrozumiała główne zasady tej roboty. Z zadowoleniem wkładała szpilki

w poduszkę i przerzucała na krzyż kołeczki z ponawianiem na nich niemi.

Było już około godziny dziesiątej z rana; zapowiadał się dzień pogodny, a po czystym błękitie, lekkie obłoczki przesuwwały się zwolna i poważnie. Z ganku, na którym siedziała lady Chester, piękny odsłaniał się widok na kamieniste brzegi strumienia i gromady świerków, z pomiędzy których wyglądały dachy domków, licznie tam osiadłych gości. Nad tem wszystkiem górowały wzgórza Antałówki i szczyty dalekie Murania i Hawrania, świecące białemi płatami śniegu.

Lady na krajobraz najmniejszej nie zwracała uwagi, ani na kwiaty stojące w wazonie na stole, choć między niemi były storczyki niebieskawe, prześlicznie pachnące, białe szarotki, delikatne złociste balsaminy i jedwabiste sitniki na



Humbert I król włoski.

† 29-go lipca 1900 r.

moczarach zrywane, a wszystko na podkładzie z najdelikatniejszych paproci, zwanych włosami Wenery. Całą jej uwagę zdawała się pochłaniać leżąc przed nią podłużna walcowata poduszka, gdzie setki poutykanych szpilek stały w wojskowym ordynku, przytrzymując nici krzyżujące się na wszystkie strony. Kawałek ćwierć metrowej koronki, zwieszając się z owej poduszki, dzieło rąk własnych milady, a białe, pierścionkami ozdobione ręce, były w ustawicznym ruchu, przerzucając koleczki. Ktoby jednak znał bliżej tę panią, ten na nią dziś spojrzawszy, zauważyłby, że jest jeszcze coś innego, zajmującego ją więcej niż robota. Zauważyła to już Fanny, siedząca na progu i zajęta garniowaniem czepeczka dla milady.

Ta, lub tamta ręka, zatrzymywała się chwilami w powietrzu, wzrok milady spoczywał nieruchomo na jakimś przedmiocie, ale znać było że nie widzi tego na co patrzy, a na twarzy żywsze niż zwykle miała rumieńce, choć był to może refleks od różowego satynkowego szlafrocza, su-to ozdobionego wstążkami i koronkami. Z tych szczegółów ubrania, z tego zamykowania do falbanek i wstążek, widać było, że lady Chester nie jest rodowitą Angielką, bo Angielki lubią przeważnie prostotę.

Obok wazonika z kwiatami, leżał *Times*, świeży numer *Graphica* i złoty malutki zegarek z brylantowym monogramem. Lady spojrzawszy na cyferblat, zadzwoniła, a gdy się zjawił służący, spytała.

— Czy sir Warburton już się przebudził?

— Tak jest milady, w tej chwili podałem Jego Dostojności herbatę.

— A pan Walter?

— Pan Walter wstał o siódmej i przekłada bibułę rośliny przyniesione z wycieczki.

— Proś pana Waltera!

(d. c. n.)



Wiktor Emanuel III król włoski

WÓZEK Z POMARAŃCZAMI.

W piękny poranek sierpniowy, w okolicy Rzymu przejeżdżał konno mały, dziesięcioletni może chłopiec w towarzystwie poważnego mężczyzny i dwóch służących, trzynających się zdala za jadącym. Taż samą drogą prowadzono na targ wózki z owocami i jarzynami, między innymi chłopak lichy odziany i mizernie wyglądający, ciągnął również wózek napełniony pomarańczami. Ciężar znać był nad jego siły.

Chłopiec co chwila przystawał, ocierał pot z czoła podartym rękawem i ochrypłym głosem wołał: — Pomarańcze słodkie, tanie pomarańcze! — Nikt jednak nie kupował zachwalanego towaru. Głos chłopca stawał się coraz słabszy, a wózek naładowany posuwał się coraz leniwiej.

— Hej chłopcze, co chcesz za te pomarańcze? — zapytał mały jeździec, zatrzymując konia.

Przekupień spojrzał nań zdziwiony, obliczając ile razem wart jego towar.

— Co to znaczy? — zapytał jadący z chłopcem starszy mężczyzna.

— Pozwól mi je kupić — prosił w odpowiedzi malec.

— A czy masz pieniądze? — zapytał z kolei poważny towarzysz.

— Właśnie że mam — odparł z pewnością siebie. — Mama mi dała sztukę złota — dodał, wyjmując 5 lirów z kieszonki.

I schyliwszy się podał rozwozicielowi pomarańcz.

— Więcej nie mam, jeżeli za mało, rozdaj pomarańcze i przyjdź do mnie, poproszę mamy, to ci doda.

Rozwoziciel na widok sztuki złota, która pięć razy opłaciła jego towar, szeroko oczy otworzył i nie mógł wyjść z podziwienia.

— No, dalej, wysypuj pomarańcze! — zawołał malec, zeskakując z konia. — Poczekaj, ja ci pomogę — dodał.

I zaczął wyjmować z wózka pomarańcze. Zaraz też zbiegła się cała rzesza dzieci, ujrawszy żółty owoc rozsypany na drodze.

Chciały go zbierać.

— Hola! — zawołał mały dobroczyńca — nic bez pracy — kto złapie, ten dostanie.

I zaczął podrzucać w górę owoce, a dzieci, śmiejąc się i podskakując chwytaly je jak piłki.

— Pyszna zabawa! — wołał panicz, uganiając się wraz z innymi za podrzucanym owocem.

Starszy towarzysz patrzył na malego z upodobaniem, nie przeszkadzając niczem jego zabawie.

Po powrocie z przejażdżki, ochmistrz opowiedział ojcu o postępkach i zabawie syna.

— Zadowolony jestem z ciebie, mój chłopcze — rzekł ojciec, gładząc zarumienioną twarzyczkę malca, jeżeli dziś zjednasz sobie przyjaźń rówieśników, będziesz miał z nich w przyszłości wiernych poddanych.

Tym ojcem był Humbert I, król włoski ur. r. 1844 wstąpił w r. 1878, zamordowany zbrodniczą ręką dnia 29-go lipca b. r. którego zwłoki wśród żalu rodziny i całego włoskiego narodu, spoczywają już dziś w Panteonie, jedynym w całości zachowanym budynku starożytnego Rzymu, w którym składają Włosi szczątki zasłużonych krajowi ludzi.

Synem zaś bawiącym się pomarańczami Wiktor Emanuel III, obecny król włoski, który zaraz po ojcu objął rząd.

W chwili, gdy to piszemy, pociąg wiozący wracających z uroczystości pogrzebowych króla Humberta, wykoleił się nieopodal Rzymu. Młody król wraz z małżonką swą Heleną Czarnogórską pospieszył na miejsce katastrofy i sam osobiście kierował akcją ratunkową.

Niechajże w dalszym ciągu stara się ulżyć niedoli swego ludu, jak w dzieciństwie ulżył rozwozicielowi pomarańcz a w chwili objęcia rządów, nieszczęśliwym pod rozbiciem wagonami.

Z. M.

Siódmy list Janka Z. do Redakcyi Wieczorów.

(Dokończenie).

— Co ze mną robią, dlaczego mnie porwali? myślałem, ale nie znajdowałem odpowiedzi na to pytanie. Betschuani nie są ludożercami, zresztą lichą mieliby ze mnie pieczeń, bo nigdy nie byłem tłusty, a wychudłem po chorobie! Na co jednak mogłem im być potrzebny? Dowiedziałem się o tem wieczorem.

Mężczyźni wrócili z polowania, które im się dobrze powiodło, bo zabili dwie antylopy i kilkanaście ptaków, upierzonych jak nasze kuropatwy, poczem zasiedli do kolacyi. Dano i mnie gotowanego mięsa, ale rozdzierać je musiałem palcami, noż mój zabrali rabusie; zabrali oni wszystko co znaleźli w moich kieszeniach, zostawując mi tylko ołówek i notatnik. Bali się liter, sądząc, że są to czarodziejskie znaki i temu przesądowi zawdzięczam możność wysłania do was listu, kochani koledzy, ale też ołówek i papier ma dla mnie nieocenioną wartość. Ileż razy niecierpliwiłem tatkę, marnując bez potrzeby kajety lub pióra!...

Lecz wracam do owego pierwszego dnia mojej niewoli. Po kolacyi mężczyźni zasiedli na ziemi i zapalili gliniane fajki; naradzali się długo między sobą, poczem jeden z nich przyszedł do mego posłania i zaczął mówić łamanym angielskim językiem.

Z początku trudno mi było zrozumieć, czego chce, pojąłem jednak w końcu. Pytał mnie o matkę, a ja omal nie rozplakałem się z żalu. Betschuani sądzą, że jestem synem pani van der Nort, spodziewali się więc okupu od Holenderki; mieli też bardzo kwaśne miny, kiedy powiedziałem im, że moja mama nie żyje, a pani van der Nort, wcale o mnie troskać się nie będzie.

Byłem dla Betschuanów fantem, z którym nie wiedzieli co zrobić, szczęściem nie zabili mnie jednak, nie wypędzili nawet na pastwę hyen i szakali, pozwalają żyć i dają jeść, a ja siedzę i czekam, aż wygoją mi się nogi, bardzo jeszcze spuchnięte. Staram się nie myśleć o tem, co będzie dalej.

Piątek 25 maja.

Znów wróciłem do pisania, bo lżej mi na sercu, gdy wypowiem to co czuję. Jestem okropnie zniechęcony; dni płyną, nie przynosząc żadnej zmiany w mojem położeniu, rany na nogach zaogniają się, widać zostały w nich kolce, choć stara Betschuanka zapewnia, że wyjęła już wszystkie. Żyję pod jej opieką i pomagam w pracy starszuszki, mańczę za nią maleńkie dzieciátko, które wygląda jak czarny kociak, a przedewszystkiem tłukę kukurydzę w stępie zrobionej z wypalonego pnia.

Betschuani żywią się przeważnie kukurydzą, żytem i mlekiem, ale jedzą jednak także i mięso, gdy się im uda upolować zwierzyne; największym zas przysmakiem jest dla nich krew wołu. Cenią bardzo bydło, chowają wielkie stada i sprzedają je w Kimberleju, dokąd dowożą także na targ kukurydzę i skóry zwierząt.

Wy, kochani koledzy, mało zapewne interesujecie się krajem jakichś tam Betschuanów, a jednak kraj to większy może niż cała Europa, ciągnie się na północ od rzeki Oranii aż w nieznana głąb Afryki, i zamieszkały jest przez ludność, która w większej części rządzi się sama, gdyż tylko południowe prowincje potrafił sokołdować Anglii generał Warren w 1886 r. Są też one najwięcej ucywilizowane, bo mają ciągłą styczność z Burami i Anglikami; wielu z ich mieszkańców pracuje w kopalniach Johaneshurskich, umie czytać, a nawet pisać, gdyż Anglicy zakładają dla nich szkoły, wielu także przyjęło wiarę chrześcijańską od misyonarzy, których główna stacya jest w Kurumanie. Ci ubierają się w bawełniane spodnie i koszule; rozróżnić po tem można chrześcijanina od pogan, którzy chodzą nagi i noszą tylko mały fartuszek zwany karos.

Wojna źle wpłynęła na Kafrów i innych krajowców: obudziła w nich chęć do grabieży. Ja właśnie padłem ofiarą takiej zachcianki Kral, w którym żyję od kilku tygodni, stoi w okolicy nieurodzajnej, mieszkańcy wioski są biedni, chaty ich nędzne, ale bywają osady Betschuńskie, gdzie spotkać można murowane domy i dobrze uprawne ogrody.

Niedziela 27 maja.

Znów dwa dni nie pisałem, bo napadło mnie okropne zniechęcenie, zaczynam tracić nadzieję ocalenia, przytem rozdarła mi się kieszeń i zgubiłem ołówek. Ach, jak ja go szukałem! jak się ucieszyłem znalazłszy. Mądry Polak po szkodzi, mówi przysłowie, ja też dopiero zgubiwszy ołówek, wziąłem się do zeszycia dziury w kieszeni. Użyłem do tego kolca mimozy i włókna rośliny, z której Betschuani kręcą liny i robią sieci.

Śmielibyście się, widząc mój szew, ja jednak byłem bardzo dumny, naprawiwszy rozdarcie, obudziłem nawet podziw starej Betschuanki, pokazywała swoje synowej moją robotą. Zyskałem łaski starszuszki, zaprzyjaźniwszy się z jej wnukiem. Nie mogłem z początku rozróżnić dzieciaków, były wszystkie jednakowo czarne i podobne do siebie, powoli przyzwyczaiłem się rozpoznawać je. a dwunastoletniego Samba polubiłem za jego talent rzeźbiarski.

Będziecie się śmieli, jednak tak jest, rzeźbi i to nawet rzeźbi bardzo artystycznie, o ile znać się na tem mogę. Wczoraj naprzykład wystrugał trzonek siekierki i zakończył go łbem antylopy z doskonale rozwiniętymi rogami. Wszystkie sprzęty domowe przyozdobił wyrzynaniami, prawda, że sprzętów jest bardzo mało, stołki o trzech nogach stanowią główne umeblowanie izby, ale każda z tych nóg mogłaby słuszenie być podziwianą w muzeum afrykańskich zbiorów, a cóż mówić o maczugach, tarczach, dzidach jakimi te pokryte są rysunkami.

Staram się rozmawiać z Sambem i kreślę mu na piasku różne ozdobnicze wzory wedle naszych europejskich pojęć; słucha ciekawie, a oczy dziecka błyszczą. Mnie zaś żal tej iskry, jaka tli w duszy czarnego malca.

Sobota 2 czerwca

Nie pisałem dawno. Co pisać? straciłem nadzieję wydostania się ztąd, jestem ciężarem i darmozjadem, a rany dotąd niezgojone, iść więc niepodobna zwłaszcza samemu. Myśliwi, wracający z obławy, opowiadają często, że widzieli oddziały angielskie, maszerujące na północ-wschód ku Transwaalowi, ale tu nie pokazywał się żaden, — jednak miesiąc już żyję w niewoli z tęsknotą do ojca. do białych ludzi! Tak miesiąc, bo dziś 2 czerwca, mam swój kalendarz na kiju i sprawdzam datę. Robię każdego dnia małe narznięcie na lasce, a w niedzielę krzyżyk. Widziałem, że karbowy u cioci tak rachował kopy i sposób okazał się dobry, bo pomaga mi liczyć dni nojej niewoli. Marna to pociecha! staram się mężnie znosić przeciwności, ale pisać do was koledzy nie mam już odwagi. Czyż dojdą was te kartki? jest ich już tylko dwie w notesie. Boże! cóż ja widzę! ktoś jedzie na koniu...

(Przyp. Red.) List ten Janka Z., pisany na kartkach z notesu, odebraliśmy bez podpisu, a koperta zaadresowana inną ręką. Jesteśmy o niego bardzo niespokojni.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Mimo, że Real miał wielką pokusę poznania tego miastka, oparł się jej przecież, gdyż pociąg ruszał niezwłocznie

dalej, a pominąć go, znaczyło to samo, co opóźnić o całą drogę przybycie do właściwego celu podróży, tak zaś pozostała przestrzeń około stu milową przebył bez przerwy dość szybko, i stanął w Cheyenne, stolicy Wyomingu, już 16 maja, omijając leżącą na zachód piękną miejscowość Snowy Ranges, z wyniosłymi szczytami Kong's Peak.

Dziwaczna nazwa Cheyenne nadana zarówno miastu jak rzece nad którą ono leży, powstała przed laty z zepsutego miejscowym żargonem wyrazu Chien, jak pogardliwie przeważano zamieszkałe tu plemię indyjskie. Niezbyt też dalekie są jeszcze czasy, gdy pierwsi tu poszukiwacze złota rozbili swe namioty, które wkrótce zastąpiły chaty, a następnie murowane domy wznoszące się wzdłuż ulic i dokoła obszernych placów, od czasu gdy wielka linia kolei „Od oceanu do oceanu” przechodzi tamtędy.

Podłużny prostokąt, jaki zakresłają państwowe granice Wyomingu, przedstawia jużto wyniosłe góry, już głębokie doliny, a gdy Colorado, Columbia i Missouri, trzy ważniejsze rzeki w nawodnieniu północnej Ameryki, tu właśnie źródła swe mają, zasługa tego stanu jest bodaj dostateczną, aby gwiazda jego zajaśniała obok innych na błękitnej tarczy herbu państwa.

Maks Real zachował w Cheyenne, tak jak w całej swej dotychczasowej podróży, ściśle incognito; a że nikt nie spodziewał się go tu tak wczesnie, więc unikał bez trudu uroczystych przyjęć i sutych, a niezdrowych obiadów, które mi entuzjastyczna publiczność, zechciałaby niezawodnie uczcić swego wyjątkowego gościa, a w których wzięłyby też udział kobiety. Równouprawnienie bowiem płci pięknej stanęło tu już na tym punkcie, że przyznano jej prawo głosowania do wyborów parlamentarnych.

Gdyby artysta rozporządzał dowolnie czasem, byłby najchętniej wybrał się do Parku Narodowego pieszo lub końmi, aby miał swobodę zatrzymywania się gdziekolwiek zechce, czy to dla poznania uroczych zakątków obszernej kotliny Laramie Ranges, której gliniasty grunt niegdyś, wedle zdania geologów, dno olbrzymiego jeziora, zdobi dziś bujna roślinność traw i lasów spowita wstęgami bystrzych dopływów Columbii, czy też owych cudownych wyżyn Union Peak, Hayde Peak i ponurego Ouragans z Wide Water Moundains, który dał zapewne początek nazwie sławnemu z burz Oregon.

I co by to była za rozkosz dla poetycznej natury Maksa, gdy nie czuł się niczem skrzepowany w tej wycieczce na wskroś artystycznej. Ależ czyż mu wolno było zapomnieć, że jest przede wszystkim partnerem gry dziwacznej, igraszką losu, pionem bez woli, który w oznaczonych terminach czasu, ma posuwać się na tej wielkiej szachownicy Stanów Zjednoczonych. Myśl ta upokarzała go.

— Wyrzekłem się godności wolnego człowieka, przyjmując tę rolę — myślał dość często z niesmakiem — i to jedynie dla widoków odziedziczenia majątku zmarłego oryginała. Doprawdy, rumieniec wstydu oblewa twarz mają ile razy nawet mój Murzyn spojrzy na mnie. Kapitalne głupstwo zrobiłem. Trzeba mi było od razu zostawić do licha i Tornbrocka i całą tę grę szaloną. Byłbym przynajmniej uszczęśliwił chciwych Titburów, Crabbów, Kymbalów i Urričanów... Zagodną i skromną Helenę Nałęczę, nie licząc do nich; bowiem miła ta paniąka nie wydała mi się wcale zachwycona rolą figurowania w grupie siedmiu. Jak mi Bóg miły, rzuciłbym jeszcze teraz wszystko i pozostał w Wyomingu dopóki mi się spodoba, gdyby nie wzgląd na moją ukochaną matkę, która by mi nie wybaczyła takiego braku wytrwałości. A więc, skoro nie może być inaczej i znajduję się już w tym z niczem nieporównanym Yellowstone, niechże zobacze wszystko co da się widzieć w krótkich dzieśnięciu dniach, w których jestem panem swej osoby.

Tak rozumował Maks Real, lecz gdyby nawet rozporządzał swą osobą dowolnie, ryzykowałby zbyt wiele, gdyby zapuszczał się samotnie w ten kraj piękny wprawdzie, gdzie wszakże łatwo jeszcze spotkać się można z drapieżnym zwierzem, lub bandą koczujących Siuksów, przeciw

którym niejednokrotnie dotychczas wojsko występować musi.

Nie dawniej jak w 1870 r. rząd powierzył pp. Langford, Doanne i dr. Heyden, pierwszy raz misję zbadania mała do owej pory znanych okolic jeziora Yellowstone, dodając dla bezpieczeństwa odpowiednią siłę zbrojną. W dwa lata później na skutek złożonych relacji, kongres uznał piękny ten zakątek, jako własność państwa, zasługującą na szczególną jego opiekę. I odtąd obszar tej ziemi mającej 55 mil szerokości na 65 długości, z jeziorem Yellowstone i źródłami Missouri, zabezpieczony od prywatnych nabywców, przeznaczony został ku ozdobie kraju i przyjemności miłośników piękna.

Właściwie dwie linie transkontynentalne łączą New-York z San-Francisco. Pierwsza z nich zwana Oregon Short Line, długa na trzy tysiące osmdziesiąt mil, skierowaną jest na Oregon — druga obliczona na pięć tysięcy trzysta, idzie przez Topeka, Denver, Cheyenne, przecina Wyoming, Utah, Nowadę i Kalifornię aż do oceanu Spokojnego.

Od Ogden, w Utah, linia boczna zmierzająca ku północy dosięga Helena City, w Stanie Montana, skąd mała już tylko przestrzeń dzieli od Parku Narodowego, którego terytorium wchodzi w skład trzech sąsiadujących tu ze sobą Stanów: Idaho, Montana i Wyoming.

Od Cheyenne do Ogden liczy się około pięćset mil, a z Ogden do Monida, najbliższej stacyi Parku, już tylko czterysta pięćdziesiąt i tę drogę wybrał właśnie Maks Real, pragnący koniecznie zwiedzić przy sposobności Ogden, które leży z północnej strony wielkiego jeziora Salt Lake, gdy na południowym jego brzegu rozkłada się miasto tegoż samego nazwiska, znane nie tyle jako stolica Stanu, ile jako główna siedziba sekty mormonów.

Z jakąż przyjemnością byłby pierwszy partner zboczył jeszcze do tej miejscowości, budzącej słusne zaciekawienie. Cóż, kiedy nie był panem swej woli i czasu, którym mógł rozporządzać, nazbyt był krótki, aby zdołał zadowolić wszystkie swe chęci. Więc też przez cały dzień 17-go maja, podążył pociągami na pograniczu Stanów Idaho i Wyoming, do Oxfordu.

Idaho, leżące w zagłębieniu Kolumbii, bogate w pokłady mineralne, zwabia co wiosnę całe tłumy poszukiwaczy złota, a żyzna gleba wróży, że i rolnictwo rozwinie się w niedalekiej przyszłości. Tymczasem kryją się tam jeszcze Czarne Nogi, Przekłute Nosy, Odważne Serca i inne niespokojne plemiona indyjskie; między zaś ludność białą miesza się dużo Chińczyków, szukających łatwiejszych, niżeli w swej ojczyźnie, warunków życia.

Stan Montana, jak to sama już nazwa wskazuje, jest krainą górzystą, zatem mniej podatną pod uprawę zbóż, ile dla hodowli bydła, której też przeważnie oddają się mieszkańcy, chociaż nie brak i tu również pokładów złota srebra i miedzi. Lecz ze wszystkich ziem Unii tu właśnie jeszcze najliczniej osiadłe są plemiona indyjskie, z których więcej znane: Płaskie Głowy, Grube Brzuchy, Kruki, Modkсы i Cheyenni niepokoją swych sąsiadów, kolonistów.

Uznane pierwotnie za stolicę Stanu, miasto Wirginia choć wznosiło się z początku szybko, ustąpiło teraz pierwszeństwa zostającemu w lepszych warunkach Helena City. Od stacyi kolejowej Monida, dla stale ożywionego ruchu turystów, podążających ze wszystkich stron świata do Yellowstone, prowadzą w głąb uroczego kraju wygodne kolejki. Jedną z nich jechał teraz pierwszy partner.

Jeżeli słuszne jest porównanie, że czem są skwery i ogrody dla miast, tem bywają parki narodowe dla całego kraju, to Stany Zjednoczone i pod tym względem są dość bogate; oprócz bowiem najslawniejszego parku Yellowstone, coraz więcej zyskują rozgłosu wspaniałe okolice Crater-Lake, w wulkanicznej miejscowości na północo-wschodzie — również uroczą dolinę, zwaną: Ogrodem bogów, malowniczo ujętą w górzyste ramy, w Stanie Colorado; — a wreszcie bogata w prześliczne widoki amerykańska Szwajcarya.

Ponieważ skalista i wulkaniczna ziemia dokoła Yellowstone najmniej jest wdzięczną dla pracy rolnika, a dość ostry klimat nie sprzyjający rozwojowi roślinności, usuwa nawet hów bydła, państwo właściwie nie nie traci, gdy całą tę krainkę pozostawilo w jej pierwotnej dzikości. Więc też gdy ręka człowieka mogłaby tylko popsuć to cudowne dzieło przyrody, jedyną jej czynnością było tu przeprowadzenie dróg komunikacji oraz wzniesienie hoteli i restauracji, w których turysta znajduje nie tylko potrzebne wygody, lecz nawet zbytłowny komfort.

Wszystko wszakże na świecie ma swe ujemne strony, i doświadczenie wykazało, że dla organizmów wrażliwych, dłuższy pobyt w tej wilgocią przejętej miejscowości, szkodzi zdrowiu, wywołując objawy złośliwej febrzy.

Dla innych znowu, na nagane zasługuje zbytłno uprawiany sport polowania na niewiną zwierzynę, której należałoby się więcej ochrony. Cóż, kiedy myśliwymi są tu przeważnie dyrektorowie towarzystw finansowych, których własnością są miejscowe koleje żelazne i hotele, a zakład Terasse Mammoth stanowi punkt środkowy jakby udzielonego księstwa.

Prawie trudno uwierzyć — księstwo w wolnej republi-se amerykańskiej!..

Pora, w której Maks Real przybył do Yellowstone, zwabia właśnie najliczniej podróżnych. Pełno też było ich wszędzie, lecz na szczęście nikt nie posądzał, aby malarz, który z takim przejęciem oddawał się swej sztuce, należał do „siedmiu” gry Hypperbona.

Nie kępowały więc niczyją uwagę, czuł się artysta nad wyraz szczęśliwy, gdy mógł swobodnie przebiegać tę cudowną miejscowość we wszystkich kierunkach i bez przeszkody odtwarzać na płótnie każdy piękniejszy lub oryginalniejszy widok; a cenne te studia, które ze wstawiającym wykończył zapałem, miały mu wynagrodzić sownie trudy całej podróży, chociażby go nawet ominęła wielka wygrana, o której też co prawda, najmniej teraz myślał.

Tomy wszakże towarzyszący wszędzie swemu panu, nie umiał podzielać jego zachwytów i utrzymywał stale, że wymalowane widoki są o wiele piękniejsze od natury, na co artysta uśmiechał się tylko pobłażliwie.

Tak upływały żyło dnie jeden za drugim.

— Tu dopiero dla mnie życie, tu rozkosz prawdziwa — myślał często Real w upojeniu i zachwycie. Iluż wrażeniami napawa się ta dusza moja! aż żal pomyśleć, że niezadługo trzeba mi to wszystko rzucić i wracać do Cheyenne... Toż to już 29-go muszę tam być koniecznie... Ażym się tylko nie spóźnił. Boże drogi, co by na to powiedziała kochana matka moja!..

A nie tylko artystyczna dusza Maksa znajdowała tam tak wyjątkowe zadowolenie. Uspokojenie nawet najmniej na piękno wrażliwe, nie pozostają obojętne na cuda doliny Yellowstone, w których sama różnorodność już jest osobliwą.

Tu skupiają się w grupę bazaltowe skały, jak obronne jakoweś zamczyska, z ciężkimi baszty i wysmukłymi wie-

życami, tam stoją znów pojedynczo, szczytami sięgające obłoków, a błyszczą i migocą śnieżną koroną niby rozsiedli na swych tronach jakowys władcy potężni. Gdzieindziej znowu stoją w zwartych kolumnach, tworząc wśród stromych swych ścian długie, kręte korytarze, wiodące do obszernych kotlin, jakby w bajecznym labiryncie; a wszystko to splecione w chaotyczną całość zielenią lasów i spływającymi z wyżyn potokami, które odwieczną tam pracą swoją złobią wyrwy i rozpadliny, błyszczące zdala jak rozwieszne złociste i purpurowe wstęgi.

Znowu odmienny widok. Oto resztki olbrzymich niegdyś lasów powalonych i zdruzgotanych w strasznej, ognistej powodzi lawy, która dziś skamieniała, spłynęła tu kiedyś z bezczynnych obecnie wulkanów, szerząc straszne dzieło zniszczenia.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze wspan z *drugim* prosto, jak to wiecie sami,
Jest prawie nieodłączne z wielu przedmiotami.

Drugie z trzecim przeróżne barwą i robotą,
Z giętkich włókien lub słomy ręce ludzkie plotą.

Trzecie z drugim od smutnej osłania przygody
Trzymając w bystrym pędzie groźny wylew wody.

Wszystko wraz z swej morderczej dobrze znane siły,
Tysiące zdrowych ludzi spycha do mogiły.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

uł. W. S.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę z rodzaju „pastorogich.”
3. Napój tatarski.
4.
5. Wyspa na m. Śródziemnem.
6. Płynący lód.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy poziomo i pionowo utworzy imię europejskiego monarchy.

ROZWIĄZANIA DO Nru. 32-go.

Łamigłównki sylabowej:

- 1) Haiti. 2) Eck) 3) Nemezys. 4) Rzeszów. 5) Yazoo. 6) Krzyk. 7) Raja. 8) Zanzibar. 9) Esnek. 10) Włocławek. 11) Uzbekowie. 12) Słonim. 13) Kiachta. 14) Irtysz.

Henryk Rzewuski — Zamek krakowski.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Latem, wiersz przez Z. Plewińską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Wózek z pomarańczami (z ryc.) — Siódmy list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Testament dziwna, powieść Juliusza Verne’a, przekład M. D. (z ryc.) — Łamigłównka i rozwiązanie. — Dodatek: Tresowana myszka przez M. St. (z ryc.) — Paproć, pogadanka przez Henryka Rygiera. — Zamienimy się, komedyyka w jednej odsłonie? — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Довозено Цевзурою. Вapшавa 6 Аврета 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.